Schody

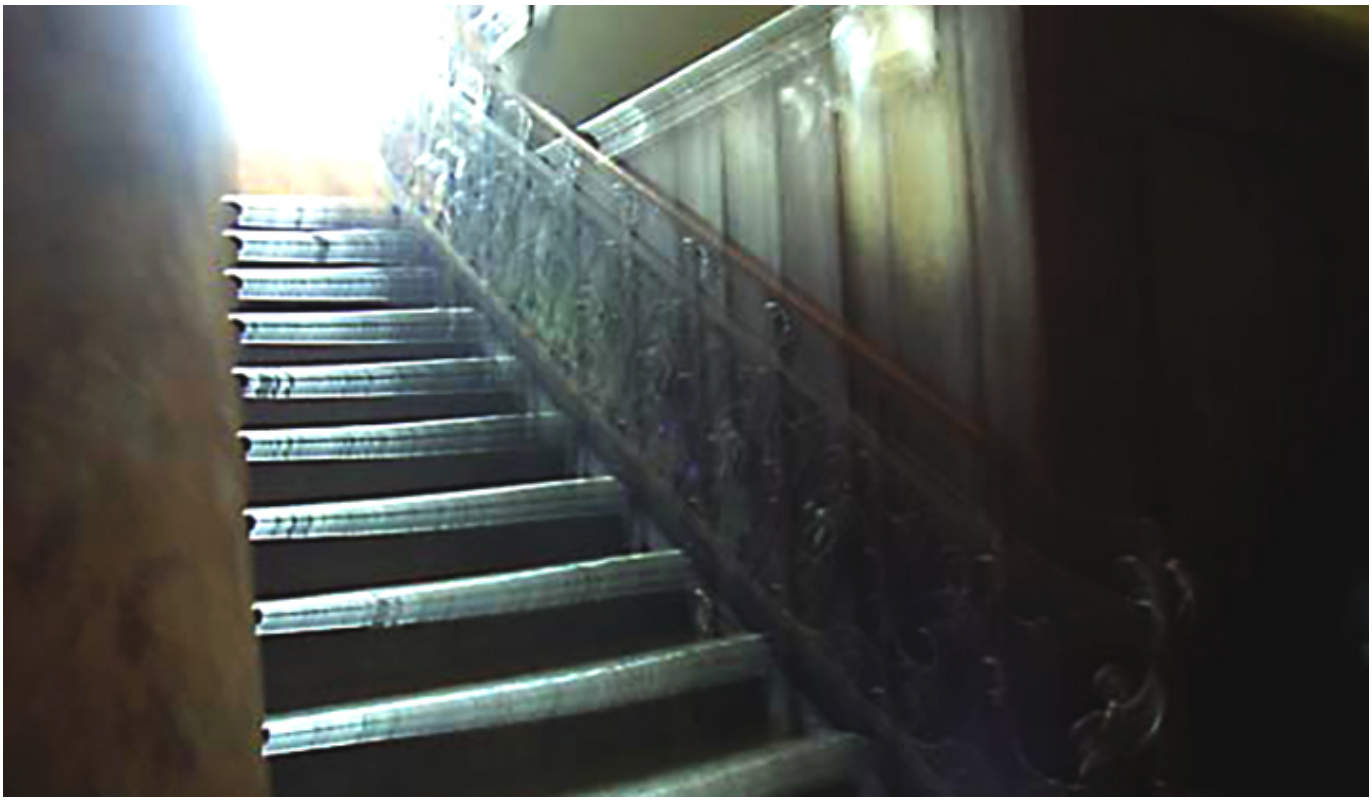

Adam Fiala

Matura po polskim październiku 1956 roku nie była łatwa zwłaszcza z przedmiotu zwanego historią. Przedmiot ten lubi ulegać magicznym zmianom. Zaś szkoła imienia Stanisława Staszica w Lublinie kojarzy mi się głównie ze Schodami. Nie chodzi o kariery, wielu uczniów je porobiło zwłaszcza w naukowych dziedzinach. Schody były drewniane, o wypracowanych stopniach, zjeżdżało się po nich w ciapach jak po ślizgawce. Były dwa zjeżdżania. Pierwsze gdy kończyły się lekcje, a były także w sobotę, drugie na gorącą zbożową kawę w podziemiach. Akurat przed dużą przerwą. Śpiący na lekcjach wtedy się budzili, nawiedzeni trzeźwieli i wiara wyruszała nie w pole, ale do kawopoju. Kanapki własne przynosiło się z domu, przeważnie bułki bez szynki. Szynka w socjaliźmie była produktem strategicznym. Wszystkie ówczesne ruchy, także solidarnościowe były głównie z powodu mięsa, jak to nazywano „świnoujścia” do Związku Radzieckiego, gdzie kołchozy i sowchozy nie nadążały z produkcją.

Ze Schodami kojarzą mi się dwaj nauczyciele zwani „psorami”. Pierwszym z nich był

dyrektor Majder, pseudo uczniowskie było zbędne bo krótkie nazwisko. Dyrektor, łacinnik, słynny z południowego temperamentu. Uczęszczałem na lekcje łaciny i szalenie bawiła mnie i klegów głośna odmiana: *hic, haec, hoc, huius, huic*. Majder lubił trzepać zeszytem po głowie ucznia nieprawidłowo odmieniającego. Drugie słowo to było *plusquamperfectum*. To taki czas zaprzeszły. Akurat w naszym czasie nie brakowało pluskiew i były perfekcyjne.

Jest nonsensem, że łacina to język martwy acz piękny. To jest urzędowy język państwa Watykan, nawet wynajdują nowe słownictwo na takie terminy jak telefon komórkowy czy komputer. On żyje i króluje. Na maturze miałem więc język łaciński. Zwolniony byłem potem na studiach prawniczych z uciążliwego lektoratu tego języka. Drugą uciążliwością nieznaną studentom KUL to było Studium Wojskowe, ale to zupełnie inna *cup of tea*.

Majder nie tylko trzepał zeszytami po głowach. Także ciapami, wtedy unosił się straszny pył. Zaczajał się przy końcu schodów i jak ktoś zjechał krzyczał: “poznałem cię”, kazał zdejmować ciapa i odkurzał go na głowie delikwenta. Wtedy nie było jeszcze absolutnej nietykalności cielesnej. Ale Majdera wyrzucono po polskim październiku i zajął jego miejsce Ślepak, z okularami grubymi jak dno szklanki. Ślepak jednak wszystko wiedział i widział bo miał szpiegów. Nauczał matematyki którą nazywał królową nauk. Wiedza matematyczna Ślepaka zamykała się w grubym zeszycie z gotowymi, rozwiązanymi zadaniami. Spiskowano nawet by podkraść mu ten zeszyt. Byłby bezradny jak i bez podwójnych okularów. Gdy zmieniał okulary cała klasa machała rękami zakładając, że w tym momencie kompletnie nic nie widzi. Te szczegóły zostały zupełnie pominięte w panegirycznej nieco książeczce “Tamten Staszic”. Myślę że po prostu musiała być sporządzona w takim stylu. Rodzaj laurki. Cudem więc zdałem maturę z tego przedmiotu.

Ale jeszcze większy cud był z kolejnym „psorem” o pseudonimie Kalif. Też udało mi się zdać historię na trójkę. Kalif również wiąże się w mojej pamięci ze Schodami. Prowadził swą klasę dostojnie na śniadanie, wymachując grubą lachą jak Mojżesz. Do momentu. Wataha z góry naparła na jego klasę i Kalif został przewrócony, podeptany, a lacha uleciał kilka metrów dalej. Od tego wydarzenia Kalif już przestał uczyć kultury zachowania i bawić się w Mojżesza, prowadzącego do Ziemi Obiecanej.

Kombinowałem już wtedy, przyznaję się, by uniknąć tłoku. Nakładałem czerwoną opaskę, niby dyżurnego i bez problemu ześlizgiwałem się w podziemia (Majdera już wtedy nie było). Kawę podawano bez ograniczeń, czasami nawet naturalną, nie, nie, nie w okolicach świąt państwowych czy 1 Maja ale akurat kościelnych. Kalif to była barwna postać godna satyryka i jego powiedzenie: "strzelaj Niemcze w pierś Szlązaka" przeszło do historii szkoły Staszica. Odnalazłem je w tej książeczce "Tamten Staszic" przesłanej mi z Lublina po śmierci kolegi z prawniczych studiów. Są w niej dwa piękne eseje Kmiecika i Szczepaniaka. Pierwszy jest naukowcem, a drugi kustoszem Muzeum Socjalizmu w Kozłówce pod Lubartowem. Może jakimś cudem się o tym felietonie dowiedzą, bowiem lubliniacy są rozprzestrzenieni po całym świecie. Zaś Kalif, który przeplatał przedmiot historii własnym życiem, był, jakby to aktualnie powiedzieć, i szowinistą i rasistą i Bóg wie kim, bohaterem prawdopodobnie także. Nienawidził wszystkich narodów i innych ras za wyjątkiem Francuzów, Polaków, a szczególnie ukochał etniczną grupę Hanysów czyli Ślązaków, choć sam był w innym miejscu urodzony, jako „gorol" *(Ślązacy innych nazywają „gorole", red.)*. Ale uwaga szczególnie nie lubił Czechów. Czecha nazywał Prusakiem Wschodu. Mam czeskie nazwisko, jestem pragmatycznym pacyfistą w stylu właśnie czeskim (nawet w czasie Czeskiej Wiosny, czyli powstania przeciwko komunie, nikt albo prawie nikt nie zginął). Byłem tam tylko raz na wycieczce zakładowej z "Samopomocy Chłopskiej", ale uważam, że Praga Czeska to najpiękniejsze miasto Europy, dobrze że nie było tam nigdy ostrego powstania i nienaruszona ocalała. Ponadto tam urodził się mój ulubiony pisarz Franz Kafka, który się nie starzeje, a nawet jakby ciągle rośnie w aktualność. Kalif więc mógł do mnie odczuwać naturalną niechęć. Niektórzy nauczyciele jak Dziewulski zwany Cyganem wzywali mnie do tablicy okrzykiem: "Fiala przyleciała". Kalif miał na głowie tajemniczą bliznę. Podobno nie była z powodu Szwaba tylko oblany przez niego na maturze uczeń strzelił mu w głowę z modnego wówczas korkowca.

Kalif według własnych opowieści był bohaterem lub bardziej aktualnie ujmując rodzajem Rambo. Krótko ostrzyżony miał maleńkie niebieskie świńskie oczka i w dodatku grywał na skrzypcach, żeby było jeszcze zabawniej. Grał jak to nazywał: kawałki. Kiedyś zagrał na akademii na pianinie taki kawałek bodajże Szuberta, ale jeden ważny klawisz nie działał. Kalif był w Legionach, w 1919 r.walczył o Śląsk Cieszyński. Wraz z garstką kolegów pobił cały batalion czeski, przeganiając wroga za

Olzę. W 1919 r. bił się z Ukraińcami o Lwów i Galicję Wschodnią. Ukraińcy się cofnęli. W 1920 r. rozgromił bolszewików i wygrał konkurs skrzypcowy.

Ale jeżeli chodzi o Szwabów to się z nim nie zgadzałem, bo kocham szwabski salceson, którego nie znajdzie się w Australii. Zwano go też Guzikowym, ze względu na oczka białego tłuszczu w czerwonym krwawym mięsie. Bogaci ludzie w Polsce, a nigdy ich nie brakowało, zwano ich Czerwonymi Świniami z Zatoki Dobrobytu karmili tym salcesonem psy i koty.

Kalif jednak lubił Napoleona. Ponoć z zemsty za Księstwo tylko Warszawskie Polacy namówili Napoleona do inwazji na Rosję. Ale to już zupełnie inna historia.

Spisujmy wspomnienia, bo lubią ulatywać w przestrzeń kosmiczną. Czy komiczną – jak kto woli.